

Od autora: Ten tekst to fragment z książki "Na zakręcie czasu", której nikt nie chce wydać.

X. Słowo na niedzielę

Ksiądz proboszcz Krystian Olborski miał właśnie zły dzień. Nie dość, że dokuczał mu żołądek to jeszcze zwałił mu się na głowę kolejny problem. Zła nowina dotarła na plebanie razem z wdową Feliksą Kowalską. Bogobojna ta kobieta stała zażenowana na podejściu, kiedy otworzył jej drzwi, Milczała chwilę zanim wydusiła z siebie pierwsze słowa.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.
- Na wieki wieków – odpowiedział zapraszając do wejścia.

Proboszcz skierował swoje kroki do kancelarii, bowiem kobiet przychodzących załatwiać sprawy parafialne w prywatnym mieszkaniu nie zwykł przyjmować.

- Niech pani Feliksa usiądzie – powiedział wskazując twarde krzesło przed biurkiem i dostojnie rozparł się w fotelu po drugiej jego stronie.
- No proszę powiedzieć, z czym pani przychodzi? – zapytał.

Kobieta, choć starsza odczuwała przed rozmową z proboszczem tremę niczym nastolatka. Widząc jej narastające skrępowanie począł ksiądz Krystian zachęcać swoją parafiankę do wyjawienia ciężaru, który zdecydowała się przynieść z sobą na plebanie.

- Proszę powiedzieć jak na spowiedzi, z czym pani przychodzi. Jeśli jest pani ciężko kapłan jest od tego, żeby ten ciężar zdjąć z wiernego, albo pomóż mu go dźwigać – zachęcał proboszcz z dobrotliwym uśmiechem.

Parafianka z trudem przemogła psychiczny paraliż.

- O księdza wikarego mi chodzi – wyrzuciła z siebie i natychmiast zamilkła.
- A co on takiego Kowalskiej zrobił? – zapytał proboszcz.
- Pieniądzy ode mnie pożyczył i nie oddaje – odpowiedziała.

Jak tylko wydusiła siebie te słowa język się jej rozwiązał i zaczęła opowiadać o tym jak ksiądz Tomasz odwiedził ją w ubiegłym roku i prosił o pożyczanie pieniędzy. Mówił, że potrzebuje pieniędzy, żeby pomóc chorej matce, a wynagrodzenie ma niewielkie, bo ksiądz proboszcz bardzo skąpy jest i tak mało płaci, że nawet na skromne potrzeby osobiste nie chce wystarczyć – rozgadała się.

- Nie wiem czy mi wypada księdzu proboszczowi o tym mówić, bo ksiądz Tomasz różne rzeczy o pro-

boszczu mówił i to całkiem niepochlebne. Nie chciałabym zgrzeszyć przez obmowę – dodała.

- Ależ niech pani Feliksa mówi, grzechu nie będzie, a nawet gdyby był biorę go na siebie – odpowiedział proboszcz.

- Skoro tak to powiem, że ksiądz Tomasz pożyczył ode mnie równo rok temu całą sumą, co to mój nieboszczyk mąż, panie świeć nad jego duszą... Tu kobieta przerwała i zaczęła płakać, a proboszcz pocieszał ją jak umiał, bo ciekawość go nurtowała, w jak sposób wikary go oszkalował.

- I co było dalej. Niech pani Feliksa dokończy – zachęcał proboszcz.

- Pożyczyłam mu te pieniądze, które mąż dostał za cielaka – kobieta wciąż pochlipywała.

- No dobrze, ale co ksiądz wikary o mnie mówił? – dopytywał się proboszcz.

- Mówił, że proboszcz to po prostu kutwa, oszczędza na wszystkim. Opału nie kupił na zimę, Przez jakiś czas ogrzewaliśmy swoje pokoje z księdzem Robertem grzejnikami elektrycznymi, do momentu, kiedy proboszcz dostał wyższy rachunek za światło. Wtedy się bardzo zeźlił i zawołał elektryka, który poodcinał nam prąd. W mieszkaniach jak w lodowni, a brewiarz musieliśmy czytać przy świecach. Zima się zrobiła sroga. Uratował nas ojciec księdza Roberta, który kupił węgiel za swoje pieniądze i dowiózł do plebani. Zaczęliśmy palić w centralnym na zmianę. Proboszcz też się ucieszył. Ciepło miał za darmo.

- Kurza twarz – wyrwało się proboszczowi, ale tylko w myśli, bo kamuflaż niezbędny w swojej profesji opanował do perfekcji. Zamiast zakłóć zaczął jednak zachęcać kobietę, żeby kontynuowała opowiadanie. Feliksa Kowalska kobieta w wieku więcej niż dojrzałym nie fascynowała się jak dawniej seksem, za to ponad wszystko lubiła plotkować. W trakcie opowiadania nabierała coraz większej śmiałości.

- Ksiądz Tomasz opowiadał też jak proboszcz oszczędza na mszalnym winie. Zamiast kupować szlachetne gatunki zalecane przez diecezję sam produkuje liche, kwaskowate winko owocowe. Mało tego, do tego marnego substytutu dolewa jeszcze ze skąpstwa wodę. Toż to obraza Najświętszego Sakramentu – paplała jak najęta Feliksa.

-No dobrze, dobrze – przerwał jej proboszcz, któremu z każdym słowem tej kobiety tężała mina i ciarki przechodziły po plecach. Przez wiele lat skrętnie i skutecznie ukrywał swoje słabości przed parafianami, a teraz ksiądz wikary obnażył przed całym miasteczkiem te niechlubne przywary jego charakteru i niezbyt chwalebne uczynki. Wiedział teraz, że parafianie musieli skonfrontować nauki, jakie w świątyni głosił z jego własnym, nie dość, że małostkowym, to jeszcze śmiesznym postępowaniem. Co bardziej dociekliwi na pewno próbują go podliczać z ciekawości, jaka kwota mu zostaje po zaspokojeniu kosztów utrzymania świątyni, cmentarza, plebani i zabezpieczenia potrzeb materialnych księży. Strach do obleciał, gdy pomyślał, że w jakiś sposób mogłaby wycieknąć największa jego tajemnica, przez lata trzymana z daleka od nienawistnych, ludzkich języków. Nie, dlatego tak skąpił na parafialne wydatki i wikarych trzymał krótko, żeby broń Boże jakieś życie wystawne prowadził. Nie, nie trwonił pieniędzy zebranych od wiernych na dobra doczesne. W głębokiej tajemnicy jeździł dość często do Częstochowy. Tam klasztor Jasnogórski owszem odwiedzał, ale przede wszystkim wmieszany w tłum klientów wielkiego banku deponował na osobistym koncie uściulaną z dnia na dzień gotówkę i składał polecenia regularnych przelewów przeznaczonych dla tajemniczej osoby. Teraz, gdy wikary go tak spostonował nie był pewny czy podlegli mu młodzi księża, szpiegujący go jak mniemał, nie wytropili i nie odarli z największej tajemnicy życia. Zamyślił się przez chwilę, a parafianka nie śmiała mu przerywać krótkiej kontemplacji.

- Czy ksiądz Tomasz powiedział, kiedy odda te pieniądze – zapytał proboszcz przerywając milczenie.
- Kilka razy obiecywał księżu proboszczu, ale nie oddał ani grosza – odpowiedziała kobieta.
- Dobrze, że pani z tym do mnie przyszła. Postaram się żeby wikary oddał wszystko, co do grosza, a jak nie odda sam ja pani zwrócę z jego poborów – powiedział proboszcz i poprosił Feliksę przy pożegnaniu, żeby zachowała wszystko w tajemnicy. Jak po spowiedzi.

Po wyjściu parafianki proboszcz postanowił przeprowadzić z księdzem Tomaszem duszpasterską rozmowę. Słyszał już to i owo o skłonności wikarego do hazardu. Nie sądził jednak, że sprawy zaszły aż tak daleko. Tajemnicą poliszynela jest nadreprezentacja księży wśród hazardzistów. Schodzą się księża i owszem, żeby po sąsiedzku zażyć przyjemności karcianych i choć grywają też na pieniądze, to starają się nie przekraczać pewnych granic, za którymi czai się siła nieczysta niechybnie prowadząca do zguby. Ze słów wdowy wynikało, że ksiądz Tomasz dopuścił się przejścia na stronę, gdzie aniołowie niebiescy mocno utrudniony miały dostęp. W odróżnieniu od rówieśników w sutannach, którzy mieli na ogół duże problemy z seksualnością ksiądz Tomasz nie zachowywał umiarkowania w jedzeniu, co było coraz bardziej widoczne w rozbracie rozmiarów sutanny i tuszy tego młodego duchownego.

Rozmyślania przerwał proboszczowi dzwonek telefonu.

- Dzień dobry, mówi burmistrz Orski – zabrzmiał znajomy głos w słuchawce. Co słyhać dobrego księżu proboszczu? – zapytał włodarz z nutką uniżoności.
- Kłopoty, kłopoty burmistrzu – odpowiedział tajemniczo proboszcz.
- Kłopoty to my mamy w Urzędzie, a księdza to parafianie słuchają, nie to, co burmistrza, na którego każdy psioczy, bo każdy, kto od gminy coś chce skorzystać – odciął się Orski. A tak poważnie to chciałbym się księdza proboszcza poradzić w pewnej ważnej sprawie. Czy mógłbym odwiedzić księdza na plebani? – zapytał.
- , Jeśli jest taka potrzeba to zapraszam burmistrza wieczorem, bo po południu mam spotkanie z aktywistkami Kółka Różańcowego – zaproponował ksiądz, Olborski.
- Zgoda. Czy godzina dziewiętnasta to odpowiednia pora? – zapytał włodarz miasteczka.

Zaraz po potwierdzeniu godziny spotkania Olborski zaczął zastanawiać się, z czym burmistrz przyjdzie wieczorem na plebanie. Jeszcze nie tak dawno to proboszcz był petentem w urzędzie. Teraz role się odwróciły. Dawny komunistyczny działacz w cudowny sposób nawrócił się na wiarę, do tego stopnia, że podczas ważnego parafialnego święta, ubrany w komżę służył mu do mszy. Proboszcz zdawał sobie doskonale sprawę, że źródłem tej przemiany był zwykły konformizm, ale to wcale mu nie przeszkadzało, bo podporządkowanie Kościołowi władzy świeckiej traktował jako przejaw większej chwały Bożej. Skoro Chrystus zapowiedział zbudowanie Kościoła na Skale, a tą Skalą był Święty Piotr, to kapłani jako jego następcy są przedłużeniem ramienia Chrystusa na ziemi. Kościół zaś jako dzieło Boże jest niewątpliwie święty i stoi ponad wszelką władzę świecką. Wzorce układania doczesnego porządku świata muszą pochodzić z Ewangelii, a prawo ludzkie nie może być sprzeczne z prawem Bożym. Podczas rozmyślania uderzył go w nozdrza dochodzący z jadalni zapach pieczonego. To gospodyni podawała do stołu.

Burmistrz Orski mocno stracił na prestiżu po tym incydencie z noclegiem na wycieraczce przed domem

pięknej wdowy. Z tego też powodu poluzowały się mu więzi łączące go Ignacym Mazerantem, który też miał za swoje z powodu udzielenia wsparcia Edwardowi, kiedy kandydował na stanowisko wóldarza miasta. Szukał, więc Orski wsparcia gdzie się dało, żeby wzmocnić swoją mocno nadwątloną pozycję. Według wszelkich znaków na niebie, a przede wszystkim na ziemi najbardziej wpływowym człowiekiem w okolicy był proboszcz Olborski, którego pozycja społeczna stale rosła, w miarę nawrotu do hierarchii ważności z zamierzchłych, zatrącających sarmatyzmem czasów. PRL-owski egalitaryzm kruszył się pod naporem feudalnych wzorców, gdzie Kościół był ważnym elementem systemu władzy, a kler był dysponentem błogosławieństwa Bożego, bez którego żaden świecki dygnitarz obejść się nie mógł. W tamtych, wracających teraz czasach kręgosłup społeczny zginał się przed dwoma suwerenami. Jednym był dziedzic, a drugim pleban. Pleban w szybkim tempie odzyskiwał swoją pozycję, a dziedzic dopiero miał wyrosnąć na glebie powracającego wyzysku. Między innymi, dlatego burmistrz postanowił odsunąć się od Ignacego i wkupić w łaski proboszcza. Biletem wstępu miał być donos na Mazeranta.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – z tym pozdrowieniem wszedł na plebańnię były komunista Orski.

- Na wieki wieków – odpowiedział mu proboszcz. Z czym burmistrz przychodzi w skromne parafialne progi – dodał wskazując Orskiemu jeden z masywnych foteli w salonie.

Orski usiadł i rozejrzał się po pokoju, w którym wprawdzie był kilkakrotnie od czasu swego koniunkturalnego nawrócenia, ale za każdym razem rozglądał się ciekawie podziwiając solidne, stylowe meble.

- Słyszał ksiądz o Niemcach, którzy odwiedzili fabrykę na zaproszenie dyrektora Mazeranta- zapytał?

- Słyszałem coś niecoś, ale nie wiem, w czym rzecz. Mazerant mnie nie informował, a ludzie różnie mówią. Sam pan wie jak to jest. Proboszcz do służby Panu Bogu jest powołany, a sprawy świeckie na dalekim planie są. No chyba, że dotyczą utrzymania świątyni. Te sprawy często spędzają mi sen z powiek. Na wszystko brakuje pieniędzy – zaczął uważać się ksiądz, jak to miał w zwyczaju, kiedy wyczuwał szansę, żeby pozyskać jakiś grosz.

- Otóż to. Wygląda, że dyrektor Mazerant próbuje zrobić jakiś gruby interes z Niemcami kosztem fabryki – powiedział Orski.

Ksiądz Olborski nastawił uszu jak zawsze, kiedy mowa była o pieniądzach. Ciekawość proboszcza dodatkowo nabrzmiała, bo rzecz dotyczyła Mazeranta, którego duchowny uważał za katolika gorszego kalibru. Niby nie można zarzucić mu czegoś, co by kolidowało z nauką Kościoła, ale według księdza było w nim coś heretyckiego. Do kościoła rzadko chodził, a jeszcze rzadziej przystępował do komunii. Nie spowiadał się też u miejscowych księży, jakby chciał okazać plebanowi, że owszem, choć wierzy w Chrystusa to do kapłanów ma zaufanie dość mocno ograniczone. Nie mógł też mu proboszcz, tak jak innym parafianom, wytykać braków w kultywowaniu wiary, a to, dlatego, że Ignacy był prawdziwym erudyta, szczególnie biegłym w zakresie znajomości Starego i Nowego Testamentu. Siłą rzeczy rozmowy proboszcza z dyrektorem miały na ogół charakter grzecznościowy. Nie sięgając sedna tematu trzymali się bezpiecznej dla obu rozmówców powierzchowności. Proboszcz zdawał sobie sprawę, że Ignacy zbyt wiele odkrył, a może się tylko domyślał z zaskórnej działalności politycznej, którą on prowadził z woli Jego Ekscelencji. Solą i siłą tych akcji było żarliwe i bezkrytyczne zaangażowanie aktywistek zrzeszonych w Kółkach Różańcowych. Te oddane sprawom wiary i Kościoła kobiety brały czynny udział we wszystkich działaniach na rzecz umacniania wiary i potęgi Kościoła. Nagrodą dla tych autentycznych religijnych działaczek było uznanie zaskarbione u proboszcza, okazywane w dużej obfitości nie tylko podczas ruty-

nowych spotkań w salce parafialnej. Były też imienne zaproszenia na plebanię, gdzie w wąskim kręgu wtajemniczonych proboszcz pod jakimś religijnym pretekstem czerpał od swych wdzięcznych za wyróżnienie informatek wieści o życiu codziennym, sukcesach i potknięciach swoich parafian. Kobiety z natury rzeczy gadatliwe nie szczędziły księdzu szczególnie tych informacji, które w nie najlepszym świetle stawiały tych sąsiadów i znajomych, szczególnie tych, z którymi z jakiś tam powodów byli skłócen, albo nie bardzo ich lubili. Proboszcz, co jakiś czas składał swoim aktywistkom krótkie wizyty w ich domach, a one traktowały te odwiedziny jako wielkie wyróżnienie i obdarzały swego kapłana jeszcze większą wdzięcznością. Dla jednych była religijna aktywność dla innych tradycyjna agentura kościelna. Zdawałoby się, że kapłan, jako spowiednik znający najtajniejsze grzechy swoich parafian nie powinien i musi szukać o nich informacji z drugich ust. Tak jednak nie jest, gdyż z różnych przyczyn wierni nie powierzają spowiednikowi swych najskrytszych tajemnic. Największym hamulcem jest wstyd. Dotyczy to głównie spraw intymnych, a ściślej przeżyć seksualnych. Większość kobiet nawet nagabywana przy konfesjonale nie przyznaje się do stosowania środków antykoncepcyjnych podczas stosunków małżeńskich, a co dopiero do zdrady całkiem słusznie mniemając, że takie duchowe obnażenie się poniży je w oczach proboszcza i pozbawi poczucia godności osobistej. Każdy człowiek, nawet najniżej na społecznej drabinie stojący jest na punkcie własnej godności mocno uczulony i broni jej na wszelkie sposoby nie cofając się nawet przed agresją. Najpowszechniejszym i najskuteczniejszym ku temu środkiem jest kłamstwo. Pozwala ono ukryć niedostatki i słabości ludzkiej osobowości i charakteru. Spowiedź po przełamaniu zbudowanego z mieszaniny strachu ze wstydem wewnętrznego muru przynosi często człowiekowi chwilową ulgę, ale pozostawia w psychice wrażliwy przycisk, który uruchamia się z reguły wtedy, kiedy po jakimś czasie dochodzi do spotkania oko w oko ze spowiednikiem, uwiera wtedy poczucie dumy i obniża stopień własnej wartości. W wiejskich i małomiasteczkowych parafiach musi to skutecznie odstraszać znaczną część parafian od uczciwej spowiedzi. No chyba, że przyjedzie spowiadać misjonarz, który oświadczy, że nie zna nikogo z chcących za jego pomocą oczyścić się z grzechów. Jest też całkiem spora grupa wiernych, którzy wprawdzie uważają się za katolików, ale do świątyni zaglądają od wielkiego dzwonu, a do sakramentu spowiedzi przystąpić ani myślą.

-, Po co się będę spowiadał?– mówi jeden do drugiego. Przecież nikogo nie zabiłem, a jeśli bym nawet zabił to na pewno bym się do tego nie przyznał – dodaje z szelmowskim uśmieszkiem.

O tych kandydatach na zupełnych bezbożników nic by proboszcz nie wiedział, gdyby nie informowały go systematycznie i dokładnie oddane mu zastępy bogobojnych informaterek. A przecież musiał trzymać rękę na pulsie, żeby nie utracić tej dość licznej części wyznawców Jezusa Chrystusa, a wraz z nimi nie małych dochodów. Komunikacja pasterza z wiernymi odbywa się na kilku płaszczyznach. Oficjalna forma to niedzielne kazania, w których kapłan przekłada ewangeliczne zdarzenia i przypowieści na język dostępny ludowi Bożemu i płynące stąd nauki moralne i współczesne wzorce postępowania. Homilie i towarzysząca im liturgia mają charakter wzniosły, pompatyczny. W założeniu mają zawierać boskie pierwiastki utwierdzające katolicką wiarę, która jeszcze do niedawna miała, jako jedyna doktryna religijna zapewniać wiernym wieczne zbawienie, pod pewnymi warunkami oczywiście. Te warunki zostały zawarte w katechizmie, a katecheza to następna ważna płaszczyzna komunikacji duchownego z wiernymi. W symbiozie pasterza z wiernym ludem musi istnieć sprzężenie zwrotne. Tę rolę pełni przede wszystkim sakrament spowiedzi, a także tak zwana Kolenda, czyli doroczne wizyty kapłana w domach parafian. Te duszpasterskie odwiedziny po świętach Bożego Narodzenia przebiegają jednak w dużym tempie, więc nie stwarzają możliwości szczerego dialogu wiernych z ich kapłanem. Potwierdzają, co najwyżej przynależność do Kościoła i przynoszą proboszczowi znaczącą korzyść finansową. Po krótkiej, wspólnej modlitwie kapłan zadaje odwiedzanym kilka stereotypowych pytań, na które uzyskuje także odpowiedzi. Wizyta z reguły kończy się wręczeniem księdzu pieniędzy, co łaska oczywiście, ale nie

mniej niż średnia kwota dla danej okolicy kwocie, zależnej też od zamożności i hojności parafianina. Ksiądz Olborski tak jak inni pasterze doskonale zdawał sobie sprawę, że bez sprawnego i szybkiego systemu pozyskiwania informacji z podskórnego życia parafii może stracić rząd dusz. Proboszcz jednak jak każdy inny szef parafii taki zwiad posiadał. Służyła mu ku temu swoista armia zbawienia.

- Moje drogie panie, jakie to dobre wieści w naszej parafii można usłyszeć? – zwrócił się proboszcz do kobiet, które po zakończeniu obrzędów różańcowych zasiadły przy kawie w salce parafialnej. Uśmiechał się przy tym tak sympatycznie, z takim uduchowieniem, jakby był istotą nie całkiem tej ziemi. Niby taki sam człowiek jak one, a jednak jakby z innej, lepszej gliny przez Pana Boga ulepiony. Tak o swoim kapłanie myślały pobożne kobiety.

- A o czym tu mówić księżu proboszczu – odezwała się najbardziej śmiała Maria Borowska. To my chcemy księdza posłuchać – mówiła dalej. Ksiądz proboszcz tak pięknie opowiada, a my proste kobiety nie potrafimy używać tak uczzonego języka.

- Przed Panem Bogiem wszyscy równi. Jesteśmy przecież dziećmi Bożymi – ksiądz mówił dobitnie, z wystudiowanym, delikatnym uśmiechem onieśmielającym domowe gospodynie, które w większości stanowiły jego kościelny wolontariat. Jako wasz kapłan chcę brać na siebie, chociaż w części ciężar waszych problemów, dlatego interesuję się życiem moich parafian.

- No to, co, o czym teraz mówi się w miasteczku? – ponowił swoje pytanie kapłan.

- O Niemcach teraz dużo mówią – odpowiedziała Zofia Milowa.

- O Niemcach? – zastanowił się proboszcz, przypominając sobie rewelacje zapowiedziane przez burmistrza Orskiego. No tak wszyscy już wiedzą, a gospodarz parafii dowiaduje się ostatni – pomyślał

Kobiety ośmieliły się i zaczęły nadawać niczym osławiona Bibisi.

- Niemcy byli w fabryce. Taka elegancka para. Ona jak z zagranicznego żurnala – ciągnęła Milowa.

- A on bardzo przystojny i elegancko ubrany – wtrąciła się Borowska. Limuzyną podjechali pod stary budynek, Ludzie odeszli od aparatury, żeby zobaczyć takie dziwo – ciągnęła dalej.

- A czego oni tam szukali? – zapytał proboszcz.

- A diabli wiedzą, czego? - wtrąciła się Janiowa z typową dla niej zapalczywością, lecz zaraz ochłonęła, bo gdzie jak gdzie, ale na plebani imienia Złego wymieniać nie należało.

Proboszcz wiedziony ciekawością nawet nie zareagował na delikt Janiowej, bo te same, grzeszne słowa na myśl mu przyszły, a ona zaraz zaczęła opowiadać, tak jakby Zły podzielił się z nią swoją wiedzą.

- Ludzie mówią, że jakieś szachrajstwo szykują – stwierdziła dobitnie Janiowa. Może bym nie uwierzyła, ale jedna pani, co w Urzędzie pracuje i mleko ode mnie bierze powiedziała mi w tajemnicy, że do burmistrza jacyś ważniacy przyjechali z Warszawy i ostrzegali go, że dyrektor fabryki z Niemcami w konszachty wszedł, żeby fabrykę w upadłość postawić, a potem oddać im za psi grosz – mówiła szybko z przejęciem, jakby groziła nam, co najmniej nowa, niemiecka okupacja.

- Musi być prawda – wsparła ją Borowska. Sama słyszałam, jak ludzie w fabryce szemrzą między sobą,

że dyrektor miał jakiś duży szmal dostać, a teraz Niemcom chce nasz narodowy majątek oddać.

Proboszcz słuchał i myślał sobie, że musi coś być na rzeczy, skoro kobiety tak mocno przejęte rzekomą, niemiecką inwazją na fabrykę, a może i na całe miasteczko zupełnie zapomniały o miłych sercu plotkach o sąsiadach i znajomych, które to z reguły dominowały w luźnej rozmowie po oficjalnych zajęciach o charakterze religijnym. Kiedy godzinę później witał się w drzwiach, plebanii z burmistrzem wiedział już całkiem sporo, co i gdzie w miejscowej trawie piszczy.

- Powitać księdza proboszcza, powitać – konfidentycznie zwracał się do duchownego burmistrz ściskając w dłoniach jego wypielęgnowaną rękę.

- Witam włodarza naszego miasteczka w skromnych, parafialnych progach – rewanżował mu się z równie przesadną uprzejmością ksiądz.

Po tym dość sztucznym powitaniu obaj lokalni prominenci zajęli głębokie fotele w gabinecie, gdzie gosposia podała im w filiżankach ciekawą, jak to u księdza Olborskiego kawę.

- Jakież to sensacyjne wiadomości ma władza o naszej podobno wracającej do dobrej kondycji finansowej fabryce – zapytał kapłan. Nie ma dnia, żebym nie modlił się do Pana Naszego Pana Jezusa Chrystusa o wsparcie wysiłków wszystkich ludzi, którym zależy na uratowaniu tego miejsca pracy i życiowej stabilizacji dla setek naszych parafian – mówił dalej Olborski wspinając się niepostrzeżenie na schody patosu.

- Otóż to – poparł go Orski. Nie potrzebuję przecież udowadniać jak bardzo zależy mi, żeby ludzie nie stracili pracy. Myślałem, że dyrektorowi Mazerantowi zależy na ratowaniu fabryki i rzeczywiście tak było. Niestety od pewnego czasu przestaję wierzyć w czystość jego intencji, a konkretnie od ostatniej wizyty w Urzędzie byłych dyplomatów panów Gutowskiego i Szewczyka – dodał.

- A kim są ci panowie i czego od pana chcieli panie burmistrzu? – zapytał ksiądz.

- Jak powiedziałem to są byli dyplomaci. Pracowali w naszej ambasadzie w Londynie, a teraz zajmują się promowaniem zachodniego biznesu w Polsce. W porozumieniu z ministerstwem chcą pomóc dokonać właściwego wyboru tym zachodnim firmom, które zdecydowały się zainwestować w Polsce swoje pieniądze. Zapewne proboszcz wie jakimdobrodziejstwem byłoby znalezienie inwestora strategicznego dla naszej upadającej fabryki. Nie znam szczegółów, ale wygląda na to, że dyrektor Mazerant ma w tej kwestii inne zdanie i prowadzi na własną rękę rozmowy z Niemcami – mówił szybko burmistrz jakby obawiał się, że duchowny nie pozwoli mu do końca się wypowiedzieć.

- Wygląda na to, że pan burmistrzu nie wierzy już Mazerantowi, tylko tym wysłannikom z Warszawy – przerwał mu ksiądz. Przecież pan jest jak mi wiadomo przyjacielem dyrektora. Powinien pan wiedzieć jak jest naprawdę.

- No cóż. Nie zaprzeczam, że Mazerant pomógł mi w wyborach, ale teraz jak mi się wydaje ma inne priorytety. Było minęło. W polityce nie ma wiecznych przyjaciół i wiecznych wrogów, liczą się własne interesy – podobno ta zasada była mottem politycznym Imperium Brytyjskiego. Orski szukał po omacku jakiegoś usprawiedliwienia skrywanej niechęci do dyrektora, bo źle się czuł przy proboszczu, który doskonale wiedział, iż to właśnie Mazerant obsadził go na fotelu burmistrza.

- A dlaczego to burmistrzu wasze drogi tak nagle się rozeszły? – zapytał ksiądz.

- No cóż, jako gospodarz gminy jestem zobowiązany do dbania o dobro ludzi. W świetle wiarygodnych informacji, jakie uzyskałem, a które księdzu w zaufaniu wyjawiam plany i poczynania Ignacego Mazeranta w sprawie przyszłości fabryki jawią, co najmniej dwuznaczne – burmistrz dalej brnął w insynuacje, omijając z daleka prawdziwą przyczynę rozluźnienia sojusznicznych więzi łączących go dotąd z dyrektorem.

Edward Orski mówił dalej. Kręcił i mataczył do tego stopnia, aż zaplątał się kilkakrotnie w gąszczu nieszczerých wyjaśnień. Ksiądz już go jednak wcale nie słuchał. Wiedział, że burmistrz po prostu się mści za to, że Mazerant zdystansował się od niego dając wyraz swojej dezaprobacie wobec jego skandalicznego wybryku. Zachowania, jakie nie przystoi człowiekowi, a szczególnie urzędnikowi na tak eksponowanym stanowisku. Proboszcz przypominał sobie, że ktoś mądry powiedział kiedyś, że ludzie nie nienawidzą nas za zło, które im wyrządziliśmy, tylko za świństwa które oni zrobili nam - pasowało to jak ulał do sytuacji, która wykreowała impuls urażonej ambicji i popchnęła Orskiego do knozań przeciw Mazerantowi.-

- Jakże często się nam zdarza, że tam gdzie człowiek miałby prawo oczekiwać odrobinę ludzkiej wdzięczności spada na niego niespodziewanie niczym niezasłużona nienawiść – myślał proboszcz kiedy zegnał swojego gościa przy wyjściowych drzwiach. Po czym udał się do swojego gabinetu. Skromną kolację zjadł przed wizytą burmistrza. Na zakończenie dnia pozostało mu tylko czytanie brewiarza i religijne rozmyślanie. Nie zapalając światła usiadł tyłem do okna. Uliczna latarnia rzucała przez ażurową firankę dość mocne światło na biurko. Proboszcz usiadł w ten sposób, że blask padał na modlitewną księgę otwartą na stronie, od której miał zacząć odmawianie pacierzy. Obcując ze świętą księgą przez całe dekadę znał na pamięć niemal wszystkie jej wersy, dlatego wtórne oświetlenie nie utrudniało mu czytania. Co jakiś czas przerywał monotonne odmawianie gotowego tekstu i oddawał się pobożnym rozmyślaniom. Bywały jednak dni, kiedy myśli nie były kapłanowi posłuszne, błędziły bez ładu i składu po moralnych manowcach wprawiając księdza, co chwila we wstydlive zakłopotanie. Taki dzień, a konkretnie wieczór widocznie miał dziś zaistnieć, bo słowa kolejnego psalmu sławiącego Pana zaczęły się duchownemu przeplatać z innymi słowami, tymi, które kiedyś dawno z uwielbieniem kierował do dziewczyny, której głos oczarował go siedzącego w konfesjonale podczas pełnienia jednej z pierwszych swoich posług w roli spowiednika. Pamiętał ten dzień jakby to było wczoraj. Widział siebie w ogromnej świątyni siedzącego w konfesjonale. Obok była ona, a poza nimi zaledwie kilka osób siedzących w odległych ławkach.

- Ojciec duchowny – głos seksualnej debutantki brzmiał w uszach młodego spowiednika jak delikatna i czuła muzyczna fraza. Ojciec duchowny – szeptała na strunach wrażliwości, jaką posiadają tylko istoty nieskalane jeszcze przeciskaniem się przez życiowe bramki. – Jak się nie skalasz nie przejdiesz dalej – pouczał ją wewnętrzny głos. Nie wejdiesz do dorosłego świata – przekonywał. Jeśli nie odrzucisz bezpiecznej skorupy zbudowanej z kanonów rodzinnego wychowania, oddzielających młodzieńczy sektor naiwnych marzeń, słodkich, lecz mdłych jak cukrowa wata, od przestrzeni nowych doświadczeń nęcącej nieznaną rozkoszą, której zwiastuny zaczynają już penetrować wszystkie twoje zmysły.

Przez drewnianą kratę konfesjonału on Krystian, młody kapłan czuł jej gorący, wilgotny i drżący oddech.

- Nie bój się dziecko. Powiedz swojemu spowiednikowi o tym, co zakłóca ci duchowy spokój – odezwał się ksiądz, żeby pomóc dziewczynie przemóc gardę zawstydzenia.

- Nie jestem dzieckiem. Mam siedemnaście lat – szepnęła porywczo przez oddzielającą ich kratownicę.

- No dobrze córko – zgodził się z nią ksiądz, lecz z pewnym dysonansem zabrzmiały te słowa dla ich

obojska, bo różnica wieku dzieląca ich mieściła się raczej w zwyczajowych ramach dla pary, a żadnym razie pokoleniowa być nie mogła.

- Myślę, a właściwie jestem bliska pewności, że zgrzeszyłam czując narastającą lubieżność podczas dotykania w pewnych miejscach mojego ciała – wyszeptwała.

-, Jakie to części twojego ciała. Czy możesz skonkretyzować? – zapytał młody ksiądz.

- Czy muszę to dokładnie określić? – zapytała dziewczyna.

- Tak, jeśli mam ci odpowiedzieć czy twój czyn nosi znamiona grzechu – odpowiedział ksiądz Krystian głosem, który omal nie utknął w gardle z powodu ogarniających go emocji.

- Ojciec duchowny, tę obezwładniającą przyjemność doznałam pewnego dnia, kiedy poczułam potrzebę sięgnięcia ręką do krocza. Dotąd nigdy tego odczucia nie doświadczyłam, a przecież sięgałam tam podczas wykonywania zabiegów higienicznych.

- Czy czegoś podobnego nie doznałaś przyglądając się swoim rówieśnikom?

- Nie proszę księdza. Wprawdzie od pewnego czasu chłopcy budzą we mnie ciekawość, ale nigdy jeszcze nie przeszło mojego ciała coś w rodzaju słodkiego omdlenia, tak silnego, że uległam i zatraciłam się w jakiejś, odrętwiałej bezwładności. Nie wiem jak to określić. Po prostu brak mi słów. Ojciec duchowny czy to jest grzech? – zapytała.

Krystian nie wiedział, jakiej odpowiedzi powinien jej udzielić. Gorączkowo szukał w pamięci jakiejś stereotypowej, wyuczonej w seminarium frazy, którą mógłby na tę okoliczność przywołać. Oficjalna nauka Kościoła dopuszczała korzystanie z seksualnej rozkoszy tylko podczas aktu prokreacji, w której małżonkom związanym sakramentem sam Bóg towarzyszył dając życie zespolonym w ludzki zarodek męskim i żeńskim komórkom rozrodczym. Rozkosz, której doznała spowiadająca się Bogu za jego pośrednictwem dziewczyna nie była sakramentalna, a więc mogła być grzeszna. Zważywszy jednak, że kobieta doznała tej przyjemności nieświadomie to grzechu popełnić raczej nie mogła.

-, Jeśli zrobiłaś to nieświadomie grzechu nie masz. Z chwilą jednak, kiedy dotykając narządów rodnych zaczęłaś odczuwać ową rozkosz powinnaś natychmiast odstąpić od tej czynności i zwrócić swe myśli ku Bogu – odpowiedział po chwili kłopotliwego milczenia.

- Nie chciałam tego, ale kiedy już poczułam przyjemność moja dłoń nie bez mojej aprobaty starała się ten stan przedłużyć – przyznała się dziewczyna.

Krystian o nic więcej już nie pytał. Wyobraźnia podsunęła mu obraz młodej, pobudzonej kobiety trzymającej rękę w kroczu. Na jej twarzy łatwo odnalazł znaki ogarniającej młode ciało rozkoszy. Przyjmowała ją z rosnącym entuzjazmem. Poddawała się jej władaniu. Zza kraty konfesjonału uzupełniał tę wizję jej autentyczny, szybki i gorący oddech. Udzielił jej rozgrzeszenia bez zadawania pokuty. Kiedy podeszła ucałować stulę zobaczył jej twarz. To była twarz z jego niedawnej wizji. Uduchowiona i zmysłowa jednocześnie. Coś w nim zadrżało. Nikt już nie czekał na spowiedź, więc wyszedł do głównej nawy i patrzył na nią jak modli się przed ołtarzem, a potem długo, długo idzie w stronę wyjściowych drzwi.

- Trzeba było tak za nią nie patrzeć. Pomodlić się i odpędzić pokusę – odezwał się kobiecy głos w półm-

oku panującym w pokoju.

Ksiądz odwrócił się. W głębi pokoju zobaczył siedzącą na krześle gospozię. Nie odpowiedział jej, ale nie zwrócił też uwagi na fakt, że nie powinna w tym czasie przebywać na plebani, a w dodatku jej pytanie musiało mieć genezę w toku jego rozmyślań. Rozbudzony na chwilę głosem domniemanej gospozi znowu zagłębił się we wspomnieniach.

To, co wydarzyło się później pozostawiło nie tylko w jego psychice, ale w całej osobowości niezatarty do dziś ślad. Do tej pory, choć minęły długie lata jakże często w przedsennych marzeniach przychodziła do niego tak jak w tamtych dniach, niosąc z sobą ów niepojęty, cudowny czar młodości zaklęty w przejmującym dotyku dłoni, w przyspieszonym gorącym oddechu, w oszalałym biciu serca. Za każdym razem kurczowo usiłował zatrzymać ją na dłużej, ale widziadło ulatniało się jak kamfora wypędzane niechcianą myślą o krzywdzie, którą jej wyrządził dokonując bolesnego wyboru między wywołanym przez siebie uczuciem, a wcześniej złożonym Bogu ślubowaniem. Nie całkiem jednak się wyrzekł owocu tamtych potajemnych, cielesnych zbliżeń. Stchórzył i nie tylko nie odszedł z kapłaństwa za głosem serca, ale też nie uznał prawnie jej dziecka za swego syna. Targany wyrzutami sumienia starał się jednak zapewnić spłodzonemu potomkowi materialny dostatek łudząc się, że tym sposobem, choć w części pomniejszy krzywdę wyrządzoną ukochanej kobiecie i swojemu z nią dziecku.

- Nie ma takich pieniędzy, za które ojciec mógłby wykupić się od obowiązku świadczenia, na co dzień rodzicielskiej miłości – usłyszał ponownie głos swojej gospożyny płynący spoza pełzających po pokoju światłocieni rzucanych oknem przez uliczną lampę.

- Tym razem ów tajemniczy głos natychmiast ściągnął go z obłoków wspomnień do prozaicznej rzeczywistości.

- Ki diabeł – wyrwało mu się z ust zakazane słowo

Wstał z krzesła i zapalił światło. W pokoju poza nim nikogo nie było. Obszedł wszystkie pomieszczenia plebanii. Nigdzie nie było żywej duszy. Chcąc się upewnić kilka razy zawołał po imieniu gospozię. Nikt nie odpowiedział. Ugięły mu się lekko nogi, a całym ciałem wstrząsnął dreszcz.

- W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego – przeżegnał się trwożliwie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

wdajcz, dodano 20.04.2018 15:16

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.